NUMER NA OKAZ! **Poznań, dnia 13. grudnia 1908.** **NUMER NA OKAZ!**

GAZETA DLA KOBIET

Dwutygodnik poświęcony sprawom kobiet pracujących.

Organ »Związku Stowarzyszeń Kobiet Pracujących« z siedzibą w Poznaniu.

Wychodzi co dwa tygodnie na niedzielę. **Zamówienia** przysyłać należy do Ekspedycyi: Poznań — św. Marcin 69. — Abonament na poczcie 50 fen. kwartalnie. — Adres Redakcyi: Poznań — św. Marcin 69. Numer telefonu 613.

REDAKTOR:
Ks. Ig. Czechowski.

Ogłoszenia: jednołamowy wiersz petytowy 25 fen. Ogłoszenia stowarzyszeń w części inseratowej na ostatniej stronie wiersz 10 fen. — Ogłoszenia przyjmuje Ekspedycya Poznań — św. Marcin 69. Numer telefonu 613.

„GAZETA DLA KOBIET"

jest organem Katolickich Kobiet Pracujących.

SŁUŻY WYŁĄCZNIE INTERESOM KOBIET PRACUJĄCYCH.

Obejmuje sprawy zarobkowe, oświatowe, zdrowotne i religijno-społeczne,
Zawiera dział gospodarczy, podając praktyczne wskazówki dla gospodyń, mianowicie wiejskich.
Daje bezpłatną poradę prawną dla poszczególnych stanów kobiet pracujących.

„Gazeta dla Kobiet" jest nieodstępną towarzyszką wszystkich bez wyjątku kobiet pracujących.

Znajdować się winna w ręku każdej gospodyni domu, służącej, pracownicy fabrycznej, konfekcyjnej, pracownic rolnych, niemniej pomocnic handlowych.

»Gazeta dla Kobiet« jest pismem szczerze katolickiem.

„Gazeta dla Kobiet" umożliwia kobietom wspólne porozumienie, wymianę zdań i budzi poczucie solidarności i jedności.

Kobiety pracujące, abonujcie „Gazetę dla Kobiet"!

Abonament tylko 50 fen. kwartalnie!

REDAKCYA.

Kochane Siostry, Kobiety pracujące wszystkich zawodów!

W imieniu Związku kobiet pracujących, liczącego blisko 00 członków, odzywamy się do Was, kochane Siostry pracujące, dziś po raz pierwszy, a odzywamy się w Waszej sprawie, w waszym interesie.

Wszystkie z Was, kochane Siostry, słyszałyście już zapewne cośkolwiek o stowarzyszeniach, bo przecież po dziś dzień nie ma już prawie wioski, — a cóż dopiero mówić o miastach, — gdzieby nie istniały stowarzyszenia robotników lub rzemieślników. Bo teraz takie czasy, że prawie każdy stan ma swoje stowarzyszenie i zebranie; robotnicy mają zebrania robotników, rzemieślnicy i kupcy stowarzyszenia rzemieślników i kupców, a w większych miastach są nawet osobne stowarzyszenia dla krawców, osobne dla stolarzy, drukarzy itd.

A czy też to wszystko potrzebne, pomyśli sobie niejedna z was, przecież wszyscy mężczyźni, tak robotnicy jak i rzemieślnicy, należą do Różańca, to im ksiądz powie, co im potrzeba.

Prawda, lecz w kościele mówi ksiądz tylko o tem jak żyć, aby przyjść do nieba, a człowiek i tu na świecie ma swoje potrzeby; dawno już jak wyszedł ze szkoły, a chciałby się też i coś więcej nauczyć, chciałby się i zabawić, bo przecież po pracy należy się każdemu zabawa, chciałby się rozmówić z swoim równym, z kolegami pracy o wspólnych kłopotach, potrzebach, a kłopotów i potrzeb to już każdy, a mianowicie człowiek pracujący, ma wiele.

Tam n. p. jest ktoś bez pracy, więc chciałby się dowiedzieć, czyby ktoś inny nie mógł mu wskazać zajęcia.

Inny znów płaci zbyt wielki podatek, a nie wie, jak się postarać o zniżenie lub też uwolnienie od podatku, więc w stowarzyszeniu się pyta; a prawie zawsze mu odpowiedzą, bo jak nie wie który z kolegów, to przecież wie X. proboszcz, który jest patronem w Stowarzyszeniu.

Inny znowu zachorował; słyszał, że podobno kasa chorych musi go utrzymywać i leczyć, lecz nie wie, jak się o to postarać, dokąd pisać? Pyta się na zebraniu i tam się dowie.

Powiesz mi, kochana czytelniczko, przecież ja też jestem właściwie robotnikiem, przecież i ja pracuję tak samo jak ten robotnik; że jestem kobietą, to mego położenia nie zmienia. Jestem sługą, i ja mam swoje kłopoty, które powstają skutkiem mego zajęcia. Jestem czasami bez zajęcia, ja bym też w takiem stowarzyszeniu — naturalnie w takiem, gdzieby były same kobiety — chciała się spytać o miejsce. Przecież ja też muszę płacić podatki. znaczki wklejam, a gdybym zachorowała, tobym na pewno nie wiedziała, jak się starać o rentę. A przecież chciałabym się też i czegoś więcej nauczyć, dowiedzieć.

Tak samo powie ta pracownica, która pracuje w roli, to samo powie każda pracownica fabryczna.

Panienka, zajęta przy szyciu, w składzie lub kantorze powie: jakby to było ładnie i dobrze, gdybyśmy miały takie samo stowarzyszenie, jak nasi męscy koledzy; gdybyśmy tak mogły pomówić wspólnie o swoich prawach, obowiązkach względem siebie i drugich, gdybyśmy mogły znaleść poradę w kłopotach, w których nie wiemy jak sobie radzić.

Wy wszystkie, kochane czytelniczki, macie zupełną racyę, Wam też potrzeba takich stowarzyszeń, boście przecież nie gorsze od mężczyzn. A potrzeby wasze są te same, co u mężczyzn pracujących.

A powiem ci więcej, to, o czem ty marzysz, to się już w większych miastach stało. W takim Poznaniu n. p. mają sługi swoje osobne stowarzyszenie, które liczy 800 członków. Pracownice fabryczne już w kilku miastach mają swoje stowarzyszenia. A panienki, które zarabiają szyciem, lub pracują w handlach, już prawie we wszystkich większych miastach posiadają swoje stowarzyszenia.

Powiesz może, a czy się one też zgodzą? O tak, u nich taka zgoda i jedność, jak w stowarzyszeniach męskich.

Lecz by założyć takie stowarzyszenie, trzeba już większej liczby kobiet pracujących, a w małych miasteczkach i po wsiach trudno by znaleść odpowiednią liczbę.

Szkoda, powiesz, ja już się tak cieszyłam, myślałam że i u nas wnet założy X. proboszcz takie stowarzyszenie, a tu nic.

Pociesz się, nie wszystko stracone, można będzie zaradzić w inny sposób.

Otóż od **1. stycznia wychodzić będzie w Poznaniu gazeta, pisana dla Was, dla kobiet pracujących.** Będzie się ona nazywała

„GAZETA DLA KOBIET".

Będzie ona tak pisana, jak ta gazeta, którą obecnie czytasz, a będzie służyła sprawom i interesom wszystkich kobiet pracujących. I czytając tę gazetę, będzie ci się zdawało, że jesteś na zebraniu stowarzyszenia, w którem są same twoje koleżanki. I w rzeczy samej tak prawie będzie, bo będziesz czytała wiele rzeczy, które napisały twoje koleżanki same. W „Gazecie dla Kobiet" wyczytasz sprawozdania z zebrań istniejących już stowarzyszeń kobiecych, więc dowiesz się, co twoje koleżanki, czy to ekspedyentki lub szwaczki, czy pracownice fabryczne, czy sługi, na tych zebraniach robią. A są to rzeczy nieraz bardzo ciekawe.

Wyczytasz, jak się starać w razie potrzeby o rentę, o kasę chorych, kiedy, jak i gdzie się zabezpieczać, dowiesz się, kiedy możesz wypowiedzieć miejsce, jeżeli ci grożą niebezpieczeństwa. Nieraz „Gazeta dla Kobiet" wskaże ci miejsce służby lub pracy. Dowiesz się, jak się to stało, że dziś kobieta musi tak pracować, podczas gdy dawniej nie potrzebowała.

Znajdziesz tam artykuły jak żyć, jak pracować, jak się odżywiać i co robić, jak mieszkać, aby być zdrową.

A ile to znajdziesz tam pięknych rzeczy, pouczających, bo „Gazeta dla Kobiet" jest tego zdania, że kobieta winna wiele czytać, by dojść do jaknajwiększej oświaty. Będą piękne artykuły o wierze świętej, wykłady z nauki Chrystusowej, które mają na celu bronić kobiety przed niewiarą i zepsuciem. „Gazeta dla Kobiet" będzie pouczała o przyszłych obowiązkach matki, żony, gospodyni domu. Stąd znajdziesz w niej bardzo obszerny dział, poświęcony gospodarstwu domowemu.

Każda kobieta, tak służąca, jak robotnica zaciężna, tak gospodyni wiejska, jak panienka miejska znajdzie w „Gazecie dla Kobiet" wiele cennych

i praktycznych wskazówek, niezbędnie potrzebnych w życiu codziennem.

„Gazeta dla Kobiet“ więc będzie nieodstępną towarzyszką, przyjaciółką każdej kobiety pracującej. Kto ją raz pokocha, już się z nią nigdy nie rozstanie.

Będzie ją można zamówić u każdego listowego, lub też wprost na poczcie, a będzie kosztowała **tylko 56 fen. kwartalnie już z przynoszeniem w dom. Będzie wychodziła co drugą niedzielę.** Na przedostatniej stronie znajdziesz karteczkę, zwaną „Bestellschein“, karteczkę tę daj listowemu.

Cieszcie się, kobiety pracujące, że i wreszcie o was pomyślano. Dziś już wszystkie stany mają swoje osobne gazety, które bronią ich spraw i interesów. Robotnicy mają „Robotnika“, Kupcy „Kupca“ Przemysłowcy „Przemysłowca“, a **kobiety pracujące będą miały od 1. stycznia swą „Gazetę dla Kobiet“.**

Powiesz może, przecież ja już mam gazetę, czytam „Przewodnika katolickiego“, to mi starczy. — „Gazeta dla Kobiet“ będzie żyła z „Przewodnikiem katolickim“ w zgodzie, tak jak dwie rodzone siostry, i smuciła by się bardzo, gdybyś „Przewodnika katolickiego“ czytać zaprzestała. Ty powinnaś czytać nadal swego kochanego „Przewodnika“, lub inną gazetę, którą dotychczas czytałaś, lecz oprócz tego masz czytać „Gazetę dla Kobiet“. Bo „Gazeta dla Kobiet“ to pismo zupełnie inne, to pismo zawodowe, które uczy cię nie tylko obowiązków względem Boga i społeczeństwa, ale uczy cię tego wszystkiego, coś jako kobieta, zarabiająca na chleb, wiedzieć powinna.

„Gazeta dla Kobiet“ złączy wszystkie kobiety pracujące w jedno, wielkie a silne ogniwo, będzie łącznikiem, który umożliwi wszystkim kobietom pracującym porozumienie się z sobą i zrozumienie wspólnego losu, **będzie mostem, po którym będziemy wstanie przyjść wam, kochane Siostry pracujące, z pomocą i radą w sprawach zarobkowych, oświatowych, zdrowotnych i religijnych. W tym celu udziela Redakcya „Gazety dla Kobiet“ wszystkim swym abonentkom bezpłatnie porady w sprawach prawnych (więc inwalidzkich, kas chorych itd.).**

Dalej więc, kochane Siostry, ramię do ramienia, pracujmy wspólnie nad naszym losem, nad naszą oświatą.

Na wielkie niebezpieczeństwo

grożące dziewczynom naszym polskim, pragniemy czytelniczkom naszym zwrócić baczną uwagę.

Mamy tu na myśli tych niegodziwych ludzi, którzy dla marnego zysku niewinne, a nie znające świata dziewczęta oddają **w ręce grzechu** lub sprzedają je po prostu do miejsc, w których czeka je hańba i życie **najnędzniejsze i najokropniejsze, jakie być może.** Niebezpieczeństwo to jest tem większe, że żadna z tych nieszczęsnych ofiar nie przeczuwa naprzód nic złego i nie przypuszcza, co ją czeka, a gdy się dostanie w ię szpony, wtedy już wyjścia dla niej nie ma. Dzisiaj, gdy przez powstanie kolei do każdej niemal wioski z łatwością dostać się może taki zły człowiek, — a mianowicie, gdy tysiące naszych dziewczyn rokrocznie udaje się do miast, w obce strony na służbę lub na robotę, — tem większa zachodzi potrzeba, aby zawczasu otworzyć im oczy na zło, na niebezpieczeństwo, jakie na nie czyha.

Często się zdarza, iż dziewczęta opuszczają dom i udają się do wielkiego miasta niemieckiego — do Berlina, Wrocławia, Hamburga, Lipska i innych — **nie wystarawszy się wprzód w mieście tem o stałe miejsce,** mimo, iż nie znają nikogo, i tylko słyszały, iż tam znajdą zarobek łatwy. Gdy takie dziewczę, co nigdy jeszcze nie było dalej w świecie jak w miasteczku pobliskiem, wysiądzie z pociągu i znajdzie się wśród ciżby, gwaru, zgiełku na **wielkim dworcu kolejowym,** wtedy najczęściej natychmiast traci głowę.

Obawa i strach ogarniają jej serce, bezradność ją opanowuje, mianowicie, gdy nie umie po niemiecku. A przecież śmiało rzec można, nie wiele tylko dziewczyn naszych tyle się nauczy po niemiecku w szkole, by się w tym języku mogły rozmówić. Kto w takiej chwili okaże takiej strwożonej, opuszczonej dziewczynie serce i nią się zajmie, ten staje się odrazu w jej oczach wybawicielem.

O tem wiedzą dobrze, na taką sposobność czyhają właśnie rozmaite czarne dusze — jak o tem gazety tak często donoszą — i niestety! najczęściej zabiegi ich odnoszą zamierzony skutek. Często bowiem obłudnik lub obłudnica, czatujący na taką sposobność, przybierają pozór „dobrego, litościwego pana“ albo „pobożnej“ pani, starają się mówić po polsku lub przynajmniej z dziewczyną się porozumieć. A choćby i dziewczyna miała adres jakich znajomych lub jakiego przytułku, to **„przyjaciele“** ci wytłomaczą jej doskonale, iż najlepiej zrobi, jeżeli przyjmie na początku u nich **gościnę.** I jakżeby się miała opierać im, skoro jej tak dobrze radzą i życzą?! Toć takiej dziewczynie zdawać się musi, iż sam Pan Bóg tych ludzi z opatrzności jej zesłał.

Nie potrzeba dodawać, jak się taki interes dalej rozwija. Dobroczyńcy ci dają dziewczynie utrzymanie, nocleg, pożyczają jej rzeczy do ubrania, do stroju, powodują ją do ciągłych wydatków, aż pewnego dnia, gdy już nie ma grosza przy duszy, za wszystko to, niby darmo dane, żądają wysokiego wynagrodzenia — grożą jej policyą, poniewierają ją, a gdy dziewczyna w największej znajduje się rozpaczy, wtedy zrzucają maskę i powiadają jej, w jakich celach ją do siebie sprowadzili i gwałtem zniewalają ją do poddania się na sromotny los.

Sprawy takie wychodzą nader rzadko na jaw, gdyż dziewczyna najczęściej nie znajduje męstwa ani nie wie, jak się wyrwać z rąk takich zbrodniarzy, lub też wstyd jej usta zamyka.

Niech więc żadna dziewczyna nie udaje się do obcego miasta, nie postarawszy się poprzednio o pewne miejsce i nie zawarłszy z państwem, fabrykantem, lub innym pracodawcą **kontraktu.** Przestrzegamy tutaj także przed **nieznanemi biurami stręczarskiemi** i przed **anonsami** takich biur umieszczanemi w gazetach. Anonse te opiewają, iż poszukuje się **kelnerek, służących, bon, robotnic** pod korzystnymi warunkami do **umieszczenia za granicę.** Szczególnie zaś trzeba się mieć na **baczności,** jeśli anonse takie zawierają **dodatek, iż dziewczyny powinne być młode i ładne.** Po za temi **niebezpieczeństwami,** które czyhają na dziewczyny w świecie, istnieją drugie, które grożą im **w ojczyźnie, w domu samym.**

Domy grzechu mają swoich agentów, którzy po wszystkich krajach, a mianowicie także po naszej polskiej ziemi jeżdżą, i rok rocznie wywożą swe ofiary.

Agenci tacy przedstawiają się pod najrozmaitszemi postaciami. Raz występuje taki agent jako **handlarz,** to znów jako **rzemieślnik,** lub **kupiec,** to wreszcie jako **właściciel fabryki** lub **hotelista,** kiedy indziej jako **„wielki pan“.** Taki agent ma odpowiednio do swego wyglądu potrzebne papiery, oczywiście fałszowane, raz wygląda skromnie, to znów elegancko jest ubrany, zawsze bardzo jest wymowny, zawsze ma dużo pieniędzy.

To też nie długo trwa, a łatwowierna dziewczyna wierzy, iż otrzyma doskonałe miejsce, i jedzie z nim. Skoro zaś raz ją dostał w swe szpony, wtedy ofiary swej nie wypuści, póki jej nie odstawi tam, gdzie prawdziwe piekło istnieje za życia już na ziemi.

Często występują tacy agenci jako zamożni **kandydaci do stanu małżeńskiego.** Panowie ci zawierają formalnie małżeństwo — oczywiście na mocy fałszywych papierów — a zabrawszy swą „małżonkę“ do swego kraju, wydają nic nie przeczuwające dziewczyny do domów rozpusty.

Inni starają się dotrzeć do więzień i domów poprawy, szukając ładnych twarzy. Przy **wypuszczaniu dziewczyn z więzień i szpitali** czyhają już oni na nie u furty, to znów stawają na warcie przy **bramach fabryk** i wdają się w rozmowy z temi, które się im wydają odpowiedniemi dla ich celów.

Dokąd agenci tacy sprowadzają swe ofiary — czy do domów grzechu, jak się dzieje za granicą, czy w ręce rozpustników, pod kontrolę policyi lub do lokali z damską usługą — to jest rzecz obojętna, bo dola takich dziewczyn jest wszędzie nad wszelki wyraz haniebna i nieszczęśliwa. Daleko ważniejsze jest to, że jak stwierdzono, właśnie **z naszych polskich stron tyle dziewczyn staje się temi ofiarami.**

Te kilka słów niech dzisiaj starczą na przestrogę wszystkim, aby same siebie i znajome ochroniły przed najokropniejszym losem, jaki tutaj na świecie może spotkać dziewczynę.

Jaką powinna być pobożność kobiety.

Do pewnego starego duszpasterza, który był prawdziwym ojcem parafii, wpadła razu pewnego zadyszana, zrozpaczona stara niewiasta wiejska.

Smutek głęboki odbijał się na jej zwykle wesołej i pogodnej twarzy. Bo stało się, co było ciosem śmiertelnym dla pobożnej staruszki. Córka jej, jedynaczka, hańbę wniosła w dom... Ja sobie tego nie umiem wytłomaczyć, mówiła staruszka, przecież to było dziewczę pobożne, godzinami się modliło, należało do Bractw kościelnych, była nawet dzieckiem Maryi.

Stary kapłan popatrzył, podumał i tak się odezwał: Patrz na te kwiaty, które tak pięknie zdobią przyrodę. Lecz niech tylko przyjdzie mróz, a te piękne kwiatki, rażone śmiercią, zwiędną.

Tak też i w życiu dziewczęcia. Niejedna panienka, wyhodowana ręką poczciwej matki, równie kwitnie, jak ten kwiatek piękny. Z drogiego kółka rodzinnego, z opieki domu rodzicielskiego wyrywa ją życie, troska o chleb, i wchodzi młode dziewczę w samo środowisko strasznej walki życia. Niejeden kwiat życia dziewiczego ginie, więdnieje.

I jakaż tego przyczyna? Rodzice nie zaniedbali wychowania, nie szczędzili przestróg. Na wypełnianiu obowiązków religijnych, przystępowaniu do Sakramentów św., nabożeństwach nie zbywało. A jednak czemu taki koniec?

Wypełniała obowiązki religijne, to prawda, lecz działo się to pod wpływem otoczenia albo bezmyślnie, ot tak z przyzwyczajenia. Brakło *jasnego i gruntownego zrozumienia prawd religijnych*, brakło zrozumienia, że głęboka znajomość wiary to najlepsza ochrona w tej wędrówce życiowej, która pełna jest niebezpieczeństw.

Prawdziwa pobożność więc wymaga przedewszystkiem gruntownej znajomości wiary. Prawdziwy chrześcijanin winien „być zawsze gotów, by zadosyćuczynić każdemu domagającemu się od nas sprawy“.

Dziewczę, które opuszcza dom, by zarabiać na chleb czy to w fabryce, czy w składzie lub jako służąca, narażone jest po dziś dzień prawie ustawicznie na bluźnierstwa lub dowcipkowania z rzeczy świętych i religijnych. Jeżeli nie ma gruntownej znajomości prawd religijnych, wnet zacznie wątpić, przestanie dla niej być święte to, co dawniej było jej drogiem, usunie się podwalina życia pobożnego, a z nią i dawna pobożność.

Dawniej była pobożną, lecz sama nie wiedziała czemu, żyła poczciwie, bo poczciwe było jej otoczenie. Bezmyślnie zastosowała się do otoczenia. Ze zmianą otoczenia zmieniło się jej usposobienie, stała się taką, jak drudzy.

Prawdziwa pobożność winna być przedewszystkiem *rozsądną, głęboką*. Nie powinna być oddzieloną od życia codziennego, lecz winna być z życiem, z pracą, zajęciami ściśle złączoną.

Jak woda gąbkę przenika, tak też i prawdziwa pobożność powinna przenikać całe życie, pracę i zajęcia, bo tylko wtenczas ona pracę uszlachetnia i nadaje jej świętości. Pobożność nie przeszkadza pracy i zawodowi, lecz go uszlachetnia i upiększa.

Ktoby zamiast pracy, zamiast wypełniać swe obowiązki, chciał się modlić, stał by się fałszywie pobożnym. Trzeba najprzód wypełnić obowiązki swego stanu, a wypełnić je jak najdokładniej, a potem można iść do kościoła, do Sakramentów św., modlić się.

Pobożność tylko wtenczas jest prawdziwą, jeżeli opiera się na cnotach przyrodzonych, kardynalnych. Najważniejszą z tych cnót jest sprawiedliwość, która określa stosunek nasz do bliźnich, i każe szanować własność, sławę i dobre imię bliźniego.

Człowiek jest skazany na wspólne pożycie z bliźnim. A życie to nazywamy życiem towarzyskiem czyli społecznem. Wymaga go Pan Bóg, a jest ono tylko wtenczas możliwem w zgodzie i jedności, jeżeli szanujemy sławę i dobre imię bliźniego. Ktoby zaś dobre imię bliźniego przez obmowę, posądzanie, krytykowanie nadwyrężał, psuł by porządek życia społecznego, grzeszyłby przeciw sprawiedliwości, która jest podstawą pobożności.

Źródło, które z ziemi wytryskuje, staje się przyczyną życia dla trawy i kwiatów. Tak też i pobożność, która z serca płynie, winna stać się przyczyną owego najpiękniejszego kwiatka, *czynnej miłości bliźniego*, która bezustannie pracuje nad losem bliźnich.

Człowiek więc prawdziwie pobożny pracuje dla bliźnich, poświęca się dla nich. łączy się z bliźnimi tam, gdzie ma sposobność im dopomódz, szuka ich towarzystwa, a mianowicie stara się o polepszenie

losu tych bliźnich, z którymi należy do tego samego stanu. Kobieta więc prawdziwie pobożna, nie będzie stroniła od swych towarzyszek, połączy się z niemi w stowarzyszeniach katolickich ku wspólnej pracy nad ich dobrobytem, oświatą, życiem religijnem.

Prawdziwa pobożność polega na męstwie jako na podwalinie. Nie zraża się chwilowem niepowodzeniem, nie sarka za lada nieszczęściem, nie ugina się za lada pokusą.

Oto fundamenta prawdziwej pobożności, na nich dopiero można budować to, co ludzie zwykle nazywają pobożnością t. j. unikanie grzechu, modlitwę, praktyki religijne, zewnętrzną skromność, częste przystępowanie do Sakramentów św.

Te wszystkie praktyki zaś bez tego fundamentu będą fałszywą pobożnością, dewocją, komedją, która prędzej czy później może stać się straszną tragedją życiową.

GOSPODARSTWO KOBIECE.

Przedświąteczne porządkowanie.

Zapobiegliwa gospodyni krząta się przed świętami z podwójną gorliwością, przejęta tą ambicyą, by żaden zakątek jej królestwa nie powstydził się pełnego światła wiosennego. Otwiera więc na oścież okna, by balsamiczne powietrze pełną do mieszkania napłynęło falą i okrywszy się wielkim fartuchem, zakasawszy rękawy zabiera się ochoczo do dzieła.

Praca jej jednak nie powinna być gorączkową krzątaniną, niespokojnem zaczynaniem tego i owego, niezmordowaną bieganiną po całem mieszkaniu — bo przytem nuży się, męczy i denerwuje i domownicy niezadowoleni, bo nie mają cichego kącika, ni chwili spokoju. — Trzeba sobie zawsze dobrze rozważyć co zrobić najpierw, a co może zaczekać i być dokonane później, co jest ważniejszem, a co mniej ważnem. Nie potrzeba cały dzień bezustannie, niby bezduszna machina być w ruchu, lecz od czasu do czasu kwadransik wypocząć a po takim przestanku jak odmłodzeni, ze świeżemi siłami zabierzemy się do domowych czynności, a zobaczymy, że wszystko nam o wiele raźniej pójdzie i że o wiele prędzej niejedno zrobimy, do czegobyśmy znużeni, skwaszeni, dwa razy tyle potrzebowali czasu.

Mieszkanie przyprowadzamy w ten sposób do ładu:

Pościel, zdjąwszy z niej powłóczki, wynosi się na ganek lub podwórze, trzepie dobrze i wietrzy przez parę godzin, najlepiej na słońcu. Przez ten czas wyjmuje się sienniki z łóżek, które się również trzepie i okurza — a łóżka same rozkłada się zupełnie i czyści, pędzlując wszystkie szczeliny i zawiasy białym karbolem, będącym skutecznym środkiem przeciw nieproszonemu robactwu.

Ściany i sufity zmiata się dokładnie szczotką owiniętą w zwilżoną, a następnie dobrze wykręconą ścierką; sprzęty wynosi się przedtem do innej izby lub też wysuwa się je na środek i przykrywa.

Następnie oczyszczamy drzwi, ramy i gzemsy okien wodą z salmiakiem (12 części wody, 1 część salmiaku) zmywamy czystą zimną wodą i wycieramy do sucha; mydlin do tego celu używać nie można, gdyż psują pokost. Poczem myjemy szyby letnią wodą, zmieszaną z kilku łyżkami spirytusu, osuszamy sarnią skórką, a będą błyszczały jak kryształ.

Teraz zamiata się podłogę, szoruje gorącą wodą, w której rozpuszcza się nieco mydła i sody i spłukuje zimną. Możliwe szpary podłóg, w których lubią się gnieździć różne owady i w których zbiera się brud trudny do wydobycia, zalepiamy kitem, zrobionym z wapna, kazeiny i wody.

Wyściełane meble wynosi się z izby, trzepie trzepaczką, obszytą suknem lub kawałkiem materyi wełnianej, dobrze szczotkuje i w zagłębieniach zapuszcza się zacherlinem w celu ochrony od moli. Sprzęty drewniane, jeżeli są politurowane, wyciera się dobrze, zmywa delikatnie gąbką letniemi mydlinami, a po wyschnięciu naciera gałgankiem, zmoczonym naftą. Meble z orzechowego drzewa oczyszcza się tak samo, tylko zamiast naftą, naciera się je mocno mieszaniną, składającą się z łyżki oliwy francuskiej i łyżki wina czerwonego.

Dery, wełniane rzeczy wietrzy się, trzepie i obsypuje trocinami zwilżonemi słoną wodą i octem, po godzinie zmiata się je starannie miotełką ryżową, lub szczotką, a będą jak nowe — lepszy to sposób, niż czyszczenie kiszoną kapustą.

Przed omiataniem ścian zdejmujemy obrazy.

Zwierciadła ociera się z kurzu i nakłada ciastem utworzonem z kredy i spirytusu, które się po chwilowem leżeniu ściera miękką ściereczką. Obrazy olejne czyści się, nacierając je lekko ziemniakami, które się wpierw obiera i kraje w plasterki, jeżeli jeden plasterek już zbrukany, zastępuje się go świeżym, poczem się takowe ściereczką obciera. — Dobrze też jest umieścić na odwrotnej stronie obrazu w każdym rogu kawałek korka, by malowidło, dotykając się ściany, nie psuło się od wilgoci. Ramy pozłacane obmywa się gąbką, zamaczaną w winnym occie i spłukuje letnią wodą, nie ocierając, aż same przeschną.

Teraz trzeba oczyścić klamki u drzwi, okien i pieców, metalowe zawiaski i ozdoby na meblach, figurki porcelanowe. Dobrą do tego pastę można sobie zrobić, mieszając ciepły łój z równą ilością oliwy, czterema częściami sproszkowanego pumeksu i jedną częścią kredy. Po wystygnięciu naciera się tą pastą metalowe rzeczy, wyciera dobrze miękką ściereczką i trze suknem aż do połysku. Porcelanowe cacka okurza się dokładnie pióreczkiem, wkłada do letnich mydlin na pół godziny, następnie spłukuje zimną wodą i lekko wyciera płócienną szmatką.

Nakrzątawszy się w ten sposób, ujrzymy z wielkiem zadowoleniem, że nasze mieszkanie schludne, jak pudełeczko, a wszystko w około błyszczy się i lśni aż miło.

Utrzymywanie porządku jest obowiązkiem każdej gospodyni domu, którą do tego powinna skłaniać nie tylko gospodarność, lecz także wymogi piękna i zasady hygieny; gdyż nieład, kurz, pleśń wokoło nie świadczą o nas zbyt pochlebnie, a nadto czystość jest pierwszym i koniecznym warunkiem zdrowia.

Smalec. Gospodyni, która chce mieć dobry smalec, powinna go sama wytopić, gdyż gotowy jest zwykle stęchły i wiele korzyści nie można się z niego spodziewać. Na smalec kraje się tłuszcz na małe kawałki, odrzucając mięso i słabiznę. Wlać do saganka tyle wody, aby pokryć dno, i włożyć w to tłuszcz. Woda zapobiegnie przypaleniu się, i zanim smalec będzie gotowy, wyparuje. Gotować na wolnym ogniu, aż skwarki osiędą na dnie, mieszając często.

Najlepszy smalec osiąga się z sadła. Gorszy tłuszcz, jak słonina podbrzuszna, nie nadająca się do solenia, albo tłuszcz obrastający kiszki, należy osobno wytopić, zamrozić, a wywabi się tym sposobem nieprzyjemny smak.

Płótno mieszane z bawełną. Od czasu gdy bawełna jest więcej rozpowszechnioną, mieszają jej dużo do płótna, już to jako wątek, albo też skręcając w przędzeniu nitkę lnu z bawełną, w takim razie trudniej rozpoznać bawełnę wkręconą. Kupując płótno, należy uważać, czy jest

ciężkie, gdyż len jest znacznie cięższy od bawełny. Można się także przekonać o czystości płótna, ścierając je w palcach. Jeżeli mech na niem powstanie, mamy dowód, że jest przerabianem z bawełną, bo wiemy, że bawełnę wyrabia się z krótkiego puchu, a len ma długie włókna, po starciu więc koniuszki puchu powstaną, przez krochmal uprzednio przygładzone, na płótnie zaś gdzieniegdzie tylko takie włókienka się ukażą po starciu tegoż. Jeszcze jedna próba: odciąć kawałeczek płótna i zrobić na niem plamkę wodą lub atramentem. Jeżeli płótno mieszane jest z bawełną, atrament rozlewa się jak na bibule, bo bawełna, łatwo wilgoć wciąga wskutek włoskowatości. Płótno od perkalu różni się jeszcze ślizgością i kolorem żółtawym. Perkal jest zwykle niebieskawy, mocno krochmalony, ale nie sztywny, bo po starciu całą sztywność traci i łatwo się naciąga na wszystkie strony.

Pranie pierza. Jeżeli pierze jest długo używane, lub kupione, i nie mamy przytem pewności, czy jest czyste, najlepiej wyprać je w następujący sposób:

Wsypać pierze w worek z płótna lub muślinu, przesypując trochę skrobanego mydła; w kotle takim, aby się worek z pierzem w nim zmieścił, rozgotować miękkiej wody z mydłem, aby woda dobrze zbielała, włożyć weń worek z pierzem i gotować przez godzinę lub półtorej, często przewracając i tępym drążkiem ugniatając; potem wyjąć i włożyć na dużą balię lub wannę, nalać czystej miękkiej wody, worek z pierzem wygniatać, wodę zmieniać, aż będzie zupełnie czysta; wtedy wysypać pierze z worka na prześcieradło i w cichem, suchem miejscu zupełnie wysuszyć, włożyć w suchą i czystą beczkę o jednym dnie, doskonale kijem roztrzepać, przebrać i nakładać w poduszki; będzie jak świeże.

Porada prawna.

Ile dni przed opuszczeniem miejsca winna pracownica fabryczna wypowiedzieć pracę? Prawo przepisuje jako czas wypowiedzenia pracy t e r m i n c z t e r n a s t o d n i o w y?

Jeżeli więc pracownica przyjęła pracę bez poprzedniej ugody, dotyczącej terminu wypowiedzenia, winna, jeśli chce opuścić pracę, wypowiedzieć czternaście dni naprzód. Oczywiście, że i pracodawca nie może jej oddalić bez poprzedniego czternastodniowego wypowiedzenia.

Termin wypowiedzenia nie stosuje się więc do terminu wypłaty. Obojętną jest rzeczą, czy pracownica pobiera zapłatę tygodniowo czy miesięcznie.

Lecz ten czternastodniowy termin wypowiedzenia, polegający na przepisach prawnych, można zmienić na mocy osobnej, zobopólnej umowy. Pracownica więc, obejmująca pracę, może z pracodawcą swym zawrzeć umowę, która obie strony zobowiązuje do miesięcznego lub kwartalnego wypowiedzenia.

Taką osobną umową można wogóle znieść czas poprzedniego wypowiedzenia, tak że pracownica może opuścić miejsce każdej chwili; oczywiście że i pracodawca może w takim razie zwolnić pracownicę każdego czasu.

Umowa taka musi być wyraźnie osobno z każdą pracownicą zawartą na piśmie lub przynajmniej wobec świadka.

Wywieszone w fabrykach plakaty z napisem: „nie ma wypowiedzenia“ lub: „wypowiedzenie miesięczne“, nie mają żadnego znaczenia, chyba, że w fabryce wywieszony jest plakat, w którym umieszczony jest „porządek“ czyli „rozkład pracy“. Jeżeli w tym porządku wyszczególniony jest termin wypowiedzenia, ma on siłę zobowiązującą, a wtenczas nie może się pracownica wymawiać, że porządku tego nie czytała.

Jak ma sobie postąpić samodzielna pracownica konfekcyjna, która skończyła już 40 rok życia, a chciałaby się zabezpieczyć w zabezpieczeniu na niemoc i starość?

Zabezpieczenie na niemoc i starość zezwala na dobrowolne zabezpieczenie tylko tym osobom, które nie skończyły jeszcze 40 lat. — Jeżeli zaś szwaczka pracuje za zapłatą, na rachunek innej osoby, to, choćby miała lat 50, zmusza ją prawo do zabezpieczenia.

Z tego wynika jasno, co winna czynić samodzielna szwaczka, jeśli skończywszy lat 40 chce się zabezpieczyć. Oto, powinna pójść do swej znajomej i pracować dla niej za wynagrodzeniem przez kilka tygodni. Wtenczas zmusi ją prawo do zabezpieczenia, a ona, raz przymusowo zabezpieczona, może po opuszczeniu miejsca pracy u swej znajomej spokojnie w dalszym ciągu sama kupować znaczki i wklejać w kartę.

Prawo nie może w takim razie cofnąć zabezpieczenia.

W jaki sposób może się służąca zabezpieczyć na przypadek choroby?

Prawo traktuje pod tym względem służącą po macoszemu.

Podczas bowiem, gdy wszystkie inne pracownice pracujące stale i za zarobek, czyli zapłatę, zmuszone są do zabezpieczenia się w którejkolwiek z istniejących kas chorych (cechowej, knapszaftowej, pomocniczej, budowlanej, fabrycznej, gminnej lub miejscowej), kasy chorych nie pozwalają służącym nawet na dobrowolne zabezpieczenie się na przypadek choroby.

Jeżeli służąca zachoruje, winien jej pracodawca (według § 617 kod. cyw.) dać opiekę w chorobie, płacić lekarza i aptekę p r z e z s z e ś ć t y g o d n i.

Obowiązek ten pracodawcy kończy się z ukończeniem stosunku służbowego. Jeżeli więc służąca wypowie miejsce sześć tygodni naprzód, a w trzy tygodnie po wypowiedzeniu zachoruje, ma pracodawca obowiązek dać jej opiekę tylko aż do terminu ukończenia stosunku służbowego, t. j. przez 3 tygodnie.

Prawda, że według § 76 prawa o zabezpieczeniu od choroby m o g ą miejscowe kasy chorych przyjmować także i służące, lecz dotąd tego nie uczyniły. Z a t o m a j ą s ł u ż ą c e (o czem zwykle nie wiedzą) p r a w o do dobrowolnego z a b e z p i e c z a n i a s i ę w k a s a c h g m i n n y c h (§ 4), lecz w takim razie muszą same opłacać składki.

Jeżeli służąca choruje dłużej, jak 26 tygodni, płaci jej zabezpieczenie na niemoc i starość czasową rentę, podejmuje się leczenia, wysyła ją do lecznicy i płaci lekarza i aptekę.

Lecz zabezpieczenie to l e c z y s ł u ż ą c ą z a r a z (przed upływem 26 tygodni), jeżeli zachodzi obawa, że skutkiem choroby stanie się niezdolną do pracy.

Służąca więc ciężko chora, (n. p. na zapalenie płuc), winna starać się, by zabezpieczenie to wzięło ją w opiekę.



Co się dzieje w świecie?

— Czytałaś gazety?

— Jeszcze nie, a co tam nowego?

— W y b ó r p o s ł a d o s e j m u n a p o w i a t ś r e d z k o - ś r e m s k i w miejsce posła, Alfreda Chłapowskiego, który złożył swój urząd.

— Kogo postawiono na liście kandydatów?

— W Środzie postawiono X. prałata Jażdżewskiego,

Adama Piotrowskiego i dr. Felicyana Niegolewskiego. W Śremie nie było dotąd zebrania przedwyborczego.

— Podobno zanosi się na zmiany w regulaminie wyborczym?

— Tak, projekt zmiany już opracowała komisya regulaminowa. Najważniejszym w tej zmianie jest podział powiatów na obwody.

— Powiedz mi, dlaczego to tak ważne?

— Zaraz ci wytłomaczę. Dawniej zwoływano jedno tylko walne zebranie na cały powiat, co miało tę wielką wadę, że często mała sala nie mogła pomieścić wszystkich wyborców. Kto więc się spóźnił, nie mógł oddać głosu. Podział każdego powiatu na kilka obwodów usunie tę niedogodność i każdy wyborca będzie mógł uczestniczyć w zebraniu i wypowiedzieć swe zdanie.

— A, teraz rozumiem...

— A czytałaś o jubileuszu cesarza austryackiego, Franciszka Józefa? odbył się podobno wspaniale. W poniedziałek składali życzenia sędziwemu monarsze przedstawiciele parlamentu austryackiego i Izby panów. We wtorek urządzono iluminacyę w mieście, podczas której powstał tak ogromny ścisk, że zaduszono nawet cztery osoby, a przeszło 100 osób doznało okaleczeń. Naturalnie że i przedstawiciele sejmu galicyjskiego składali mu życzenia. Przemowę wygłosił marszałek kraju, hr. Stanisław Badeni. Cesarz odpowiedział bardzo serdecznie, dziękując za wierność i miłość, jaką mu okazują Polacy.

— A Niemcy z Słowianami wciąż jeszcze wojują?

— Wojują w dalszym ciągu. W ostatnim czasie przyszło znów do starcia ulicznego w Gracu, a w Pradze czeskiej zaprowadzono od środy stan oblężenia z powodu ciągłych bijatyk pomiędzy Czechami a Niemcami.

— A cóż tam w parlamencie?

— W środę i czwartek toczyły się rozprawy nad zmianą konstytucyi Rzeszy niemieckiej. Przemawiał hr. M. Mielżyński, uzasadniając wniosek Koła polskiego, żądający rozszerzenia praw parlamentu — t. j. aby parlament miał prawo kontrolowania czynności kanclerza i w nadzwyczajnych razach mógł żądać zwołania parlamentu. W tej spawie przemawiał również poseł, dr. Z. Dziembowski. Wybrano też komisyę parlamentarną, która ma obradować nad zmianą podatków; z Koła polskiego obrano do tej komisyi posłów: Napieralskiego i Sass-Jaworskiego.

— No, i podatki zostaną naturalnie podwyższone! Jednę przynajmniej dobrą stronę ma to, że my, kobiety pracujące, nie za wiele zarabiamy, chroni nas to bowiem od zbyt wielkich podatków!...

— Co do mnie, to wolałabym płacić większe podatki, byle tylko mieć większe dochody.

Rozmaitości.

Ilu ludzi umiera na sekundę? Jak wiadomo, żyje na kuli ziemskiej 1500 milionów ludzi; weźmy jako przeciętny wiek ludzi lat 30, to w 30 latach odnawia się całe ludzkie pokolenie, czyli w 30 latach umiera 1500 milionów ludzi. A więc w jednym roku umiera 50 milionów, dziennie 137 000, każdej godziny 57 600, a w ciągu dwóch sekund troje ludzi.

Jak powstały ołówki. W tym roku upływa 250 lat od czasu, jak ludzie zaczęli używać ołówków. Poprzednikami tego wynalazku były zaokrąglone kawałki ołowiu. Około roku 1650 weszły w użycie ołowiane i srebrne ołówki przeważnie we Włoszech. Początek dzisiejszego ołówka datuje się od czasu odkrycia w roku 1658 w Kumberlan (w Anglii), pokładów grafitu, który okazał się wybornym materyałem do pisania. Przez długie czasy fabrykacya ołówków z czystego grafitu była bardzo trudną rzeczą, bo musiano grafit rozpiłowywać najpierw na duże kawałki, potem na mniejsze i wreszcie na cienkie laseczki, które wkładano w drzewo. W Niemczech pierwsze ołówki zaczęto wyrabiać we wsi Stein w pobliżu miasta Norymbergi, a pierwszą fabrykę założył mieszkaniec tej wsi Kasper Faber. Było to około roku 1780, kiedy znaleziono już grafit w Niemczech i w krajach austryackich. W roku 1790 dwóch fabrykantów Jakób Konte i Józef Hartmut zaczęli prawie równocześnie mieszać z grafitem glinę, czego następstwem był wielki postęp w fabrykacyi ołówków. Nowy ten sposób dał możność wyrabiania ołówków różnej twardości i czarności. Odtąd fabrykacya ołówków zaczęła się szybko rozwijać i przybrała w Europie wcale poważne rozmiary.

Jak przeciąć szkło bez dyamentu. Miejsce obwiązać sznurkiem zwyczajnym, zmaczanym w terpentynie, zapalić go, szkło skropić wodą, a peknie równo w kierunku sznurka.

ŻARTY.

Na ulicy.

Pijany: — Przepraszam... czy panienka nie wie, gdzie mieszka Jan Walczak?

Służąca: — Przecież to sam pan jesteś.

Pijany: — To... to ja wiem, ale nie wiem, gdzie mieszkam.

Mądry.

— Czemuście koniowi oczy zawiązali?

— Żeby nie widział ile ładują, to będzie lepiej ciągnął.

Dobra wymówka.

— Przychodzę do pana dobrodzieja łaskawego życzyć mu szczęśliwego nowego roku.

— Zwaryowałeś? w marcu?

— Proszę łaski pana dobrodzieja, kiedy jak mnie zamkli w zeszłym roku w listopanie, tak mnie dopiero wczoraj z kryminału wypuścili!

Nasze dzieci.

— Wstydź się, Józiu, ja gdy miałam tyle lat co ty, to nie umiałam kłamać.

— A od kiedy mama zaczęła kłamać?

Kartka dla zamówień „Gazety dla kobiet" na poczcie:

Bestellschein.

Endunterzeichnete....... bestellt hiermit beim Kaiserl.

Posta.. die

„Gazeta dla kobiet".

für das I. Vierteljahr 1909.

Betrag von .... Mk. .... Pf. erhalten.

........................, den .... 1908.

Posta

Nakładem Związku Stowarzyszeń kobiet pracujących. — Redaktor odpowiedzialny X. Ig. Czechowski.

Czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha G. m. b. H. w Poznaniu. **Dodatek.**

DODATEK

GAZETA DLA KOBIET

ZSTĄP.

Boże! o którym wiem, iż jesteś w Niebie,
W błękitach, ponad gwiazdami srebrnemi,
Klęczę i ręce wyciągam do Ciebie,
I wołam głosem wszystkich tęsknot ziemi:
„Zstąp!... W ubożuchnem onem Betleemie,
Przy rozjaśnionej blaskiem cudu nocy,
Ujrzą Cię ludzie, że schodzisz na ziemię,
Że jesteś Bogiem potęgi i mocy,
I razem z Tobą zejdzie pokrzepienie.
Wiara nam serca napełni spokojem,
Gdy od błękitów odbite promienie
Padną na czoła, zlane trudu znojem
W górę ku Tobie podniosą je ludzie.
A choć znów przyjdzie ciężka, twarda praca,
Zostanie w duszach wspomnienie o cudzie
Jak promień słońca, co wszystko ozłaca. M. I.



BEZ NAGRODY.

NOWELKA.

Światła w oknach słynnej pracowni sukien damskich pani Ambrozyny zaczęły kolejno przygasać, i wystawione na widok publiczny, rysujące się wyraźnie na tle jasnych szyb, eleganckie okrycia, przybrały pozór tajemniczych cieni, oblanych srebrzystem światłem księżyca. Z bramy wysunęło się kilkanaście niewieścich postaci i rozpierzchło w rozmaite strony miasta wąskiemi, przylegającemi do placu, uliczkami.

Dwie młode, o ile sądzić można było po smukłości ich kształtów i zwinności w ruchach, dziewczyny, ujęły się pod ręce i, rozmawiając półgłosem, szły krokiem przyspieszonym, nie oglądając się na turkot przejeżdżających powozów.

Migocąca gdzie-nie-gdzie, wśród mgły jesiennego wieczoru, latarnia, rzucała blade światło na zarumienioną od chłodu, ale uśmiechniętą twarz jednej z nich; druga, zasłoniona gęstym krepowym welonem, nie była widzialną, tylko szczupła figurka, rysująca się wdzięcznie w fałdach mocno wytartego płaszczyka, uprzedzała korzystnie o całości postaci. Niższa od niej znacznie towarzyszka ubrana była wytworniej, a w jej zaokrąglonych kształtach, w ruchach pełnych żywości i swobody, wreszcie w częstych wybuchach śmiechu, przerywającego jej mowę, przebijało się jakieś bezwiedne zadowolenie z życia, z siebie i ze świata, jaki ją otaczał.

— ...dźmy przez skwer, dobrze? będzie krócej.

Wyt... z dziewcząt cofnęła się, jakby z odrazą.

...nie... tam tak ciemno!

— Boisz się? a to wstyd! fe, nie bądź tchórzem; pójdziemy koło latarni; tam w domu już pewno pan Ignacy czeka na nas.

Pociągnęła towarzyszkę w stronę, w której chwiejący się od podmuchów wiatru płomień naftowej latarni rzucał smugę światła na ścieżkę, zasypaną zeschłemi liśćmi.

Pod słupem tej latarni rysowała się ciemna postać, która, za zbliżeniem się dziewcząt, podniosła rękę do kapelusza; dźwięczny, męzki głos, zabrzmiał wesoło:

— Dobry wieczór pannie Lorci!

— Jezus Marya! Jakem się przestraszyła! Zkądże znowu pan Ignacy wziął się tutaj? — krzyknęła Lorka, niby z urazą, a przyciskając zlekka ramię towarzyszki, szepnęła jej do ucha:

— A widzisz? Kto dobrze radzi?

Pod czarnym welonikiem zamigotało coś, jakby nagły błysk oczu.

— Ty wiedziałaś... — wybiegł na usta szept niedosłyszalny prawie, ale pełen wymówki i niepokoju.

— Nie... jak mamcię kocham! Zkądżebym wiedziała? Ani mi to w głowie nie postało.

Tymczasem nowo spotkany przyłączył się do dziewcząt i, idąc obok nich, poufale ujął za rękę właścicielkę czarnego welonu. Ręka ta była mała i kształtną, a skostniałe palce, wysuwające się z podartych, bardzo już znoszonych rękawiczek, nie ociągając się, spoczęły w męzkiej dłoni.

— Babka się już tam o ciebie bardzo niepokoi, Stefciu, i ja się bałem, czemu się tak zapóźniłaś, więc umyślnie wyszedłem naprzeciw.

— Dziękuję ci bardzo, Ignasiu.

— A o mnie, to już pan Ignacy nawet nie pomyślał; niechby mnie tam wilki zjadły na drodze, kto się o to troszczy? — wtrąciła Lorka z przekorą.

— O, jak Bóg na niebie, niesprawiedliwa wymówka! Ale czy to o pannę Lorcię niema się komu troszczyć? Są przecież rodzice, są bracia, opiekunów nie brak.

— Lepiej mieć jednego, a dobrego — mruknęła Lorka, rzucając ukradkiem spojrzenie w stronę towarzysza, a głośniej dodała: — To ta stara papuga, Xawera, zatrzymała nas dzisiaj dłużej, bo dwie panny odeszły, a my musimy i tak starczyć, żeby wyprawę dla pani Z. wykończyć. Zachciało jej się też wyprawy do wdowiego czepka... a co przytem kaprysów... Boże! żadna panna tak nie grymasi. Żebyśmy miały co rok ze trzy wdowy wydawać za mąż, toby się człowiek urwał i uciekł z magazynu.

— A dalekoby panna Lorcia uciekała?

— Choćby przez ulicę, do pewnej drukarni, gdzie bardzo porządni ludzie pracują.

Znowu rzuciła figlarne, wyzywające spojrzenie w stronę mężczyzny, którego twarzy dojrzeć dokładnie nie mogła, ale domyślała się zapewne oblewającego ją nagle, gniewnego rumieńca.

— Porządni ludzie! Same stare graty; przecież panna Lorcia na wycieczce w Krzywczycach nawet tańczyć z nimi nie chciała, a teraz co się miało zmienić?...

— Ha... może się i zmieniło, czas na czasie nie stoi, a mój tatko powiada, że każdy zecer, to bardzo porządny człowiek, edukowany, polityk...

Ignacy znalazł się nagle tuż obok Lorki i, biorąc ją za rękę, szepnął:

— Czy panna Lorcia tak naprawdę mówi, czy tylko żeby mi dokuczyć?

Dziewczyna zawahała się chwilę, w końcu, patrząc mu prosto w oczy, odparła:

— Żeby panu Ignacemu dokuczyć.

— A to taka wielka przyjemność?

— A po co pan mówił, że pan wyszedł tylko na spotkanie Stefki? Czy to mnie się już nic nie należy?

W głosie była niby wymówka, ale serdeczny blask ożywiał w tej chwili czarne oczy Lorki.

Zamilkli wszystko troje; droga ich wiodła teraz po-pod jasno oświetlone sklepy i kawiarnie; nagle Ignacy zawołał:

— Ot, wywołaliśmy wilka z lasu! Widzi go panna Lorcia?

Wskazał ręką na drzwi jakiejś trzeciorzędnej cukierni, w których stał podżyły mężczyzna, z twarzą okrytą czerwonym trądem, ubrany w ciężkie szopy, które zdawał się z dumą i zadowoleniem pokazywać całemu światu. On poznał także idących, i szybko zbiegł naprzeciw nich ze schodków, które dotąd służyły mu za estradę.

— Padam do nóżek! Cóż to za miłe spotkanie! Gdzież to państwo tak sobie idą w kompanii? może do teatru?

— Do domu — mruknął niechętnie Ignacy — odprowadzam moją siostrę.

— Siostrzyczkę?... Jak mi Bóg miły, nie wiedziałem nawet, że posiadasz... nie słyszałem nigdy.

— Cioteczną... ale proszę nas nie zagadywać, bo późno.

— O, a ja właśnie chciałem prosić, możeby panienki wstąpiły tak na filiżankę czekolady; to znajoma cukiernia, bardzo porządna.

Dziewczętom oczy się zaiskrzyły, ale Lorka, do której te słowa wprost były zwrócone, przecząco wstrząsnęła głową.

— Dziękuję, my po cukierniach nie chodzimy — odparła,. siląc się widocznie na stanowczość.

— O, o, o! Jaka panna Lorcia harda! Raz wstąpić, toć się jeszcze nie nazywa chodzeniem, a doprawdy przydałoby się ogrzać, chłód taki, mraka, a panienki lekko ubrane.

Poprawił z zadowoleniem szeroki kołnierz swego futra, jakby pragnąc zwrócić na nie uwagę.

— Dziękujemy za troskliwość; nas młodość grzeje — odrzuciła Lorka nie bez pewnego odcienia złośliwości w głosie, i wszystko troje oddalili się szybko, skinąwszy ledwie głową za tak polityczną, jak w duchu przyznały obie dziewczyny, propozycyą.

Filiżanka gorącej czekolady z sucharkiem zupełnie niepotrzebnie stanęła im w myśli w ten mroczny, jesienny wieczór, po całodziennej uciążliwej pracy, i teraz jakoś ani rusz ustąpić im z głowy nie chciała; zdawało się obu, że teraz dopiero uczuły przejmujący chłód, na który przed chwilą nie zwracały jakoś uwagi. Tylko Ignaś wydawał się jeszcze weselszym, i wyśmiewał tak pociesznie spuszczony na kwintę czerwony nos pana Michała, że obie jego towarzyszki rozpogodziły wreszcie twarz i wtórowały mu radosnym chichotem.

Im bliżej byli domu, tem bardziej przyśpieszali kroku, aż krwisty rumieniec zabarwił policzki Lorki, a z pod czarnego kapelusza Stefki wysunął się i opadł na plecy olbrzymi złocisty warkocz, i kołysany jej ruchem, chwiał się na wszystkie strony, rozplatając się u końca, nakształt jedwabnego kwastu.

Weszli wreszcie do wązkiej, ciemnawej sieni, i zatrzymali się u dołu stromych, w dziwaczne kształty połamanych schodów. Pod temi schodami wciśnięte w najciemniejszy kąt, były maleńkie drzwiczki, przez których szczelinę błyskało światło. Stefka położyła rękę na klamce.

— Dobranoc, Stefciu! ucałuj rączki babci odemnie; idę prosto na górę, bo mi śpieszno.

— Dobranoc, a ty, Ignasiu, nie wstąpisz?

Głos, wychodzący z pod czarnego welonika, był jakby stłumiony nieśmiałością, ale miał bardzo przyjemne, łagodne brzmienie.

— Ja, owszem, zaraz przyjdę do was, tylko odprowadzę pannę Lorkę na górę, bo przecież tak jakoś nie wypada porzucić...

— A pewnie, jeszczeby mnie po ciemku złodzieje ukradli, albo jakie nieszczęście, a z takim obrońcą, to i przyjemniej i bezpieczniej. Ja zawsze mówiłam, że pan Ignacy zna się na grzeczności.

I Lorka, śmiejąc się, pobiegła lekko po ciemnych trzeszczących schodach, gdy wtem Stefka wydała głośny okrzyk przestrachu, uczuwszy nagle, że ją ktoś z tyłu chwycił za włosy.

— Stefka, co cię tam dusi? Może ci się panna Ksawera przywidziała z tem złamanem radełkiem, o które się tyle nagderała dzisiaj?

Odpowiedzią na to żartobliwe zapytanie był głośny śmiech Ignasia, wychodzącego z ciemnej kryjówki pod schodami, w którą się był wcisnął przed chwilą.

— Bardzo się przelękłaś, Stefko? Nie gniewaj się, ale taki masz śliczny warkocz, że ile razy go widzę, zawsze bierze mnie ochota pociągnąć za niego. Ty pewnie musisz mieć z parę funtów tych włosów na głowie; a takie to jakieś miękkie, jakby człowiek jedwab wziął w rękę.

Stefcia nic nie odpowiedziała; uchyliła ostrożnie skrzypiące drzwiczki i na palcach wsunęła się do wnętrza. W izdebce, do której weszła, panowała cisza i spokój głęboki; słychać było tylko jednostajne tik tak, starego zegara, którego pożółkła tarcza świeciła jeszcze w mroku girlandą jaskrawo pomalowanych róż, i równie regularny, o wiele cichszy oddech piersi ludzkiej, płynący z najciemniejszego kąta izdebki.

Tam, na ubogo zasłanem łóżku, z pod wypłowiałej kraciastej kołdry wyglądała twarz kobieca, taka wyschła i pomarszczona, iż ją ledwie za oblicze żyjącej istoty wziąć było można.

Oczy przygasłe, ale dziś jeszcze duże i szeroko rozwarte, z jakimś dziwnie szklistym wyrazem utkwione były w jeden punkt popękanego sufitu.

— Nie śpisz, babciu? — zapytała po cichu Stefcia.

— Nie, dziecko, czekałam na ciebie; nie bardzo tam zmarzłaś? — i powiodła pieszczotliwie wyschłą ręką po zziębniętej twarzy dziewczyny, ale oczy jej nie ożywiły się żadnym ciepłym błyskiem.

— Zaglądał tu kto do ciebie?

— Była, jak zawsze, poczciwa Katarzyna; niech ją za to Bóg Najświętszy i wszyscy anieli nagrodzą; przyniosła mi mleka w południe, i teraz w wieczór dopomogła do łóżka. Zaglądał także Ignaś.

— Wiem, poczciwy, wyszedł na moje spotkanie

— Zróbże sobie herbaty, dziecko, a tam na półce masz parę kiełbasek; kazałam przynieść stróżowej.

— Och, babciu, na cóż takie zbytki?

— O, o! co tam za zbytki? Cały dzień pracujesz o głodzie, jak ten wół w jarzmie, jeszczebyś nie miała zjeść kawałka mięsa. Pewno tam znowu jeszcze bardziej zmizerniałaś?

Stefcia uśmiechnęła się smutnie i zaczęła się rozbierać; z pod czarnego welonika ukazała się twarz szczupła, istotnie i uderzająco blada, pomimo to jednak nie pozbawiona pewnego wdzięku, zawartego głównie w wyrazie oczu, pełnym słodyczy, i w tem nieujętem, niedającem się opisać tchnieniu pierwszej świeżej młodości, które darzy twarz większym urokiem, niż najklasyczniejsza regularność linii.

Nad komodą, w którą składała rzeczy, wisiało małe zwierciadełko w poczerniałych ramkach; oczy Stefci spoczęły na tem zwierciadełku jakiemś dziwnem, pytającem spojrzeniem. Zdawała się przypatrywać swojej twarzy z takiem zajęciem, jak gdyby ją dopiero po raz pierwszy spostrzegła. Odchodząc od zwierciadła, ujęła pieszczotliwym ruchem koniec swego warkocza, i popatrzywszy znów chwilę na niego, uśmiechnęła się serdecznie, jak do przyjaciela. (C. d. n.)



Godne pamięci i naśladowania.

Marya, Julia Zaleska.

urodzona roku 1831 w Warszawie (zmarła tamże r. 1889), znana w całej Polsce autorka licznych powiastek i podręczników naukowych dla dzieci, redaktorka „Wieczorów Rodzinnych“, współpracodniczka „Kłosów“, była w całem tego słowa znaczeniu samoukiem. Rodzice M. J. Zaleskiej, właściciele wioski na Podolu na wykształcenie synów łożyli wiele, lecz córki wcale do szkoły ani na pensyę nie wysłali. Uczyła się młoda dziewczyna od matki czytać, pisać po polsku i mówić po francusku a z pobliskiego miasteczka przyjeżdżał kilka razy w tygodniu nauczyciel muzyki, Niemiec, od którego Marya Julia nauczyła się gry na fortepianie i języka niemieckiego.

W oczach wszystkich owo powierzchowne wykształcenie, wystarczające było dla młodej panienki. Tak też mniemali i rodzice, ale córka innego była zdania. W duszy jej tkwiło pragnienie wiedzy, zabrała się tedy z wielkim zapałem i wytrwałością do nauki. Stała się samoukiem, choć ją to bardzo wiele kosztowało mozołu. W bibliotece ojca znajdowały się różne dzieła i podręczniki; z nich tedy młoda Marya uczyła się matematyki, fizyki, chemii, historyi i geografii. Obok tego rozczytywała się w polskiej poezyi.

Dzięki tym upodobaniom i mozolnej pracy nad sobą M. J. Zaleska tak się rozwinęła sercem i umysłem, że gdy wyszła zamąż r. 1857 i wraz z mężem zamieszkała w Warszawie roku 1867, synów swych sama przygotowywała do szkół.



Wtedy to zapragnęła i innym dzieciom udzielić tego, co wykładała własnym. Zaczęła tedy pisać, lecz wkrótce przekonała się, że za mało do tego posiada gruntownych znajomości języka polskiego. Zabrała się tedy do gramatyki, do studyów i ćwiczeń językowych i dzięki niezmordowanej pracy, osiągnęła cel pożądany.

Liczne dziełka wyszły z pod pióra M. J. Zaleskiej, a wszystkie odznaczają się stylem jasnym i zrozumiałym oraz językiem bez zarzutu.

A gdy zapytamy o źródło, z którego M. J. Zaleska czerpała siłę i wytrwałość do pracy, to musimy przyznać, że tem źródłem były: pragnienie wiedzy, miłość macierzyńska i chęć służenia ogółowi.



Każda się odboleje lub powróci strata,
Każda rana zagoi i bli na zasklepi,
Ale już nam nie wrócą upłynione lata,
I, jak było w młodości, nie będzie nam lepiej.



Ducha podnoś!

Gdy drobne sprawy szarego jednostajnego życia zmęczą cię i zniechęcą, wtedy staraj się podnieść ducha swego myśleniem o sprawach wyższych, lepszych i wznioślejszych! „Jakżeż mogę?“ — odpowiesz — „tylko umysły wielkie zajmować się mogą wyższemi sprawami. Czyż szara wróbiica latać może w podniebnych sferach porówno z orłem?“

Niełatwo w istocie z ciąsnego zakresu codziennych zgryzot wznieść myśl w krainę piękna duchowego. Lecz tak jak ćwiczenie ciała potrzebne jest dla zrównoważenia szkodliwych wpływów i utrzymania zdrowia — tak też potrzeba codziennego ćwiczenia, aby ducha naszego utrzymać w równowadze, nie pozwolić mu upaść i pełzać nisko nakształt płazu ziemnego.

Ducha podnoś, a wtedy i szarość życia znośniejszą ci się stanie i modlitwa twoja głębszą będzie, szczerszą i rzewniejszą.

Nie wymawiaj się, że czasu do tego nie masz. Choćby kilka chwil tylko poświęć codziennie i albo czytaj rzeczy dobre, albo piękne oglądaj obrazy, które choć tylko w reprodukcyach wszędzie dziś już widzieć można, albo muzyką i śpiewem się zajmij.

Przedewszystkiem zaś zaprzyjaźnij się z naturą. Staraj się jaknajczęściej wyjść w pole, do lasu, na łąki; patrz i badaj, śledź życie zwierząt, a nauczysz się pojmować przyczyny i skutki urządzeń Boskich.

Ducha podnoś! Im przykrzejsze są zatrudnienia twoje, im bardziej cię przygniata ciężar życia, tem gorliwiej wybiegaj myślą do spraw szlachetnych i pięknych. Uchroni cię to niewątpliwie od bezduszności i małostkowości, które to wady wiele kobiet zdolnych i uczuciowych zdołały przerobić na nieznośne grymaśnice.

Ducha podnoś tak w sobie, jak i wokoło siebie, u domnowników i towarzyszek twoich. Ducha podnoś, a pomnożysz w tysiące promienie szczęścia, które rozświecają szare nasze życie



Gościnność dawniejsza a dzisiejsza.

Nikt nie zaprzeczy, że gorączkowość dzisiejszego życia, konieczność pracy często nadmiernej zarówno dla mężczyzn jak i dla kobiet oddziaływa niekorzystnie nietylko na nasz organizm, lecz i na życie duchowe i towarzyskie. Nikną zatem dawne formy gościnności, nie mające już dziś powodu, ani racyi bytu; owe sute biesiady, obfite uczty, przeciągające się przez kilka dni, a nawet tygodni. Szczupłość naszych mieszkań, drożyzna artykułów żywności, przedewszystkiem zaś, jak właśnie zaznaczyliśmy, gorączkowy nasz tryb życia, wszystkie te warunki nie sprzyjają gościnności, jak ją dawniej rozumiano i praktykowano.

Odwiedzając krewnych i znajomych mieszkających w tem samem mieście, pozostajemy u nich krótko, nie właściwem więc i zgoła zbytecznem byłoby podawać zaraz obfite jedzenie, zabierające niepotrzebnie czas przeznaczony na rozmowę. Wystarczy zupełnie podać lekkie, orzeźwiające przekąski n. p. owoce, ciastka, w lecie napój chłodzący, w zimie rozgrzewający. Wyjątek stanowi jakaś uroczystość familijna, na którą zaprasza się pewną ilość osób na czas dłuższy, kilkugodzinny. Lecz i w takim razie gościnność nie ogranicza się na uraczeniu gości sutą kolacyą i dobrem winem, lecz zasadza się głównie na uprzejmości gospodarzy, na umiejętności prowadzenia rozmowy ożywionej, wesołej, dla wszystkich o ile to możliwe zajmującej. Obowiązkiem pana i pani domu starać się, tak pokierować rozmową, aby w niej nie było złośliwych uwag skierowanych do osób obecnych, lub obmowy nieobecnych.

Miłem urozmaiceniem rozmowy jest wspólny lub pojedyńczy śpiew lub muzyka, których przedmiotem powinny być rzeczy narodowe, oraz nasze pieśni piękne i bogate. Niedelikatnością byłoby jednakże zmuszać gości do słuchania lichego popisu w śpiewie lub muzyce, lub narzucanie im jakiejś gry niemiłej im, lub nieodpowiedniej n. p. gry w karty. Karciarstwo, choćby we formie niby niewinnej jest stanowczo lichym rodzajem zabawy. Ludzie myślący i do pewnego stopnia umysłowo i towarzysko wykształceni znajdą zawsze inny sposób zabawy, niż grę w karty, tak łatwo przechodzącą w nałóg i namiętność. Niestety i w naszem społeczeństwie ten zgubny i niemądry zwyczaj bawienia gości grą w karty bardzo się rozpowszechnił z wielką szkodą dla naszego życia towarzyskiego, i zwalczanie tego nałogu koniecznym jest obowiązkiem każdej dobrze myślącej jednostki.

Ciężkie ciosy, które tak licznie spadają na znękane nasze społeczeństwo, tłumić wprawdzie muszą wszelkie porywy wesołości, gaszą każdą iskierkę humoru, tej nieodłącznej naszej cechy narodowej, lecz nie wynika stąd bynajmniej, abyśmy się wyrzekli pięknej cnoty gościnności, tak troskliwie pielęgnowanej przez naszych przodków.

Przeciwnie, im więcej na zewnątrz był nasz polityczny ścieśniony, tem silniej skupiać powinniśmy nasze duchowe siły.

Pozbawieni praw, jakich zażywają narody wolne i normalnie się rozwijające, ograniczeni wyjątkowemi ustawami w życiu publicznem, jedynie w życiu towarzyskiem znaleść możemy podnietę umysłu i pokrzepienie ducha.

Więc nie godzi się nam pod naciskiem ciosów zewnętrznych opuszczać rąk bezsilnie, albo w niskich, zmysłowych i gminnych uciechach, jak karty i pijaństwo, szukać zapomnienia troski — lecz szukać i pielęgnować szlachetne rozrywki, towarzyskość w szlachetnym rodzaju, tradycyonalną gościnność staropolską, które zastósowane do dzisiejszych stosunków nietylko będzie samym wypoczynkiem po trudach i zaspokojeniem naszych skłonności towarzyskich, ale może się stać zachętą do wszelkiej społecznej pracy, zbiorowiskiem naszych myśli i dążności i główną arteryą naszego życia narodowego. M. G.



ZDANIA I MYŚLI.

Nic tak nie rozbraja zazdrości drugich, jak prostota i spokój zachowania się, dobroć w mowie i jednostajność uprzejmego obejścia.

Natury wyższe posiadają obok poczucia obowiązku i drugą wielką cnotę kardynalną: delikatność uczucia



Wszystko co duszę podnosi, pociesza ją i wzmacnia, przynosi jej zarazem spokój i radość.



Czarnomorzec (czumak) przy studni.

„Hej, ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozacze?
Czyś zaoczył za ąca, co na stepie skacze?
Czy rozigrawszy myśli chcesz użyć swobody
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?
Umykaj czarnomorcu z twą „mażą“ skrzypiącą,
Bo ci synowie stepu twoją sól roztrącą!“

Tak zaczyna Malczewski swój poemat „Marya“. Na obrazku naszym widzimy w oddali ową „mażę skrzypiącą“, czyli wóz o drewnianych osiach, który niezawodnie dał powód do owego dawnego przysłowia „skrzypi, niby ruska kolasa“. Czarnomorzec zaś, zwany tak dlatego, że aż do Czarnego morza ze swą mażą jeździł, a z tatarska „czumak“ (czukmak, po polsku koczownik) odbieżał swej maży, aby napić się świeżej wody, którą mu dziewoja ukraińska chętnie podaje.

Czumak ukraiński, to mniej więcej to samo, co flis krakowski, lub oryl mazowiecki: ci po Wiśle i jej dopływach towary na tratwach spławiają, tamci rozwożą je wołami na mażach po stepowych szlakach. Włościanie ukraińscy chętnie wynajmują się do przewozu towarów, bo ich to życie koczujące w stepie pociąga i nęci.

Z pierwszą wiosną zbierają się czumaki w kilkadziesiąt parowic (wóz w parę wołów zaprzężony) i ciągną do Krymu i Bessarabii, jeśli po sól; po rybę zaś suszoną na Don lub do Dnieprowych limanów. Kiedy się już zbiorą w tak zwane wałki z kilkadziesiąt parowic, wybierają z grona swego atamana, który niemi rządzi i we wszelkich sprawach

ostateczny wyrok wydaje, jako najwyższy sędzia. On całej walki zbiera zarobek, wydatkuje, a w końcu rozlicza co się komu należy. Dziennie uježdżają nie więcej jak po dwie, a najwyżej trzy mile, bo woły dalszej drogi by nie zniosły.

Na nocleg wcześnie stają, kolejno straż przy wołach odbywają, a po rannej rosie ciągną dalej w drogę. Tak powolna podróż z nad brzegów Donu zabiera im od dni 35 do 40-tu z górą; z Krymu i Besarabii wracają prędzej. Zaledwie odpocznie, na Świętego Ilija (20 lipca) zaprzęga swoją mażę, smaruje się dziegciem, zarzuca świtę na ramiona i z ulubioną sopiłką (fujarką) a nierozłączną, rusza powtórnie w podróż. Powraca już w późnej jesieni, nieraz ze śniegiem, a na pierwszy śpiew żórawi znowu się gotuje do drogi.

Sposób ten życia koczownicy cechuje i postać Czumaka: silnej budowy, wytrwały na gorąco jak zimno, deszcz i wichurę, śmiały i odważny, skory do pohulanki, w której nieraz cały zarobek traci, więcej jednak Czumaków przychodzi do znakomitej fortuny. Są między nimi tacy, co mają po kilkadziesiąt tysięcy rubli srebrem.

Czumackie życie na stepach polubił szczególniej Ukrainiec; to też w mnóstwie pieśni swoich przechwala ten zawód i opisuje przygody, jakich doznaje nieraz. Najrzewniejsze są te dumy, w których ludowy pieśniarz opisuje opuszczonego Czumaka w stepie, gdy mu woły ustaną, albo gdy choroba śmierć przyśpieszy.

W zbiorze pieśni ludu ukraińskiego, są takie, które opisują walki Czumaków z Tatarami. Należą one do dalekiej przeszłości, gdy hordy te najezdnicze stepami zbliżały się do granic naszych i wtedy zabierały całe wałki czumaków lub odparci, uchodzili z pogromu.



MOJA GWIAZDKA.

Od dzieciństwa byłem pieściochem ciotki, która chowała poczciwie sierotę jak matka rodzona i co rok wyprawiała mi sute gwiazdki, obdarzała mnie wspaniałemi rumakami na biegunach, blaszanemi szablami, których ciosy znajdowały się na jej meblach, i teraz też uważałem sobie za obowiązek przybywać do niej co rok na wilię, przywożąc ze sobą najwspanialsze karpie i szczupaki, jakie dały się złowić w stawach Wólki. Gospodarowała tam niegdyś pracowicie na mieniu sieroty, i wiedziałem, że jej to zrobi przyjemność, ta gwiazdka od Stasia, jak nazywała mnie dotąd. Tylko już teraz nie zjadałem ukradkiem przysmaków, nie chwytałem rodzenków i migdałów, choć lubiłem wtrącać się tu i pomagać w pracy p. Zofii, wychowanicy ciotki, ubogiej sierocie, którą ciotka wzięła poczciwie do siebie i obchodziła się z nią, jak z córką, a którą nazywałem kuzynką, jakkolwiek nie znałem stopnia łączącego na pokrewieństwa. Ciotka mówiła zwykle o niej:

— Dobra dziewczyna...

A była rzeczywiście dobrą, miłą i wdzięczną, wybierając się też z Wólki do Warszawy, nie o samej tylko ciotce Anieli myślałem.

Ciotka dla mojej przyjemności zapewne urządziła po wigilijnej biesiadzie różne gry wesołe, czasem mieliśmy chętkę potańcować, ale nie było na to wiele czasu, ponieważ następnie jechaliśmy wszyscy na mszę północną na Pasterkę.

Aż jednego roku formuła ta uległa pewnej zmianie....

— Moje dziecko — rzekła — tobie należałoby pomyśleć o zmianie stanu. Takbym pragnęła, abyś się ożenił jeszcze za mego życia...

Zmieszałem się więcej, niżbym przypuścił, że to być może. P. Zofia, Zosia, stanęła mi przed oczyma.

— Już ja myślę o tem nie od dzisiaj — dodała. — Mam nawet coś upatrzonego...

Schyliłem się i pocałowałem ją w rękę, ale zrobiło mi się trochę niemiło. Byłbym wolał, aby wybór zostawiła mi całkowicie, to też rzekłem poważnie:

— Cjociu kochana, śmierć i żona od Boga przeznaczona.

— Tak mój Stasiu drogi, ale Pan Bóg każe nam coś się do tego dołożyć. Wiesz przecież jak cię kocham, wiesz, że twoja żona będzie to córka dla mnie, ale nie o sobie myśleć mi tu należy. Długo się zastanawiałam, długo wszystko ważyłam, aż doszłam do przekonania, że lepszego wyboru nie możesz zrobić. Wiek odpowiedni, bo jesteś od niej starszy blizko o lat dziesięć, urodę Bóg jej dał, a serce, a poczciwość znam ja najlepiej, przytem nie będzie uboga, nie wejdzie w dom twój bez wiana.

Drgnąłem i wyprostowałem się.

— Nigdy nie myślałem o pieniądzach przy wyborze żony — rzekłem dumnie. — Niech ją serce moje pokocha.

— Naturalnie, naturalnie, mój Stachu drogi. Wiem że nie jesteś chciwiec i łapigrosz, ale ta, o której myślę dla ciebie, będzie miała i posag... To nie twoja, ale moja rzecz myśleć o tem...

Patrzyła na mnie z takim słodkim, miłym wyrazem twarzy, uśmiechała się tak poczciwie, ale już to mnie nie wzruszało bynajmniej.

— Nie, ciotko — rzekłem prawie szorstko — nie zamierzam się żenić jeszcze.

— To źle, jesteś właśnie w tym wieku, w którym należy już pomyśleć o tem. Żenić się wtedy, kiedy już serce z czasem wychłodnie, to grzech.

— Grzech jest przedewszystkiem żenić się bez miłości — odparłem chłodno — a ciotka Aniela spojrzała na mnie. — Nie chciałabym tego, Bóg widzi, przecież wiesz, żem tak czuła i myślała zawsze, ale możebyś pokochał?...

— Nie mówmy już nic w tym przedmiocie, ciociu kochana... — rzekłem i powiedziałem jej dobranoc, chłodniej niż zwykle.

— Starość traci pamięć... — mówiłem sobie z żalem, z goryczą. — Raz pierwszy w życiu ciotka Aniela zrobiła mi przykrość, raz pierwszy miałem jej coś do zarzucenia.

To coś było tak silne, nawet mimo woli mojej, bom usiłował je tłómaczyć sobie tem, iż swatanie jest ogólną wadą kobiet — żem skrócił mój zwykły pobyt w Warszawie. Zaraz po świętach wyjechałem.

Ciotka była bardzo dotknięta, nawet rozdrażniona. Nie zatrzymywała mnie wcale i tylko na odjezdnem rzekła mi z żalem:

— A proszę niechże ja wiem przynajmniej, kiedy serce twoje uderzy nakoniec dla tej, którą uznasz godna swej miłości. Marzyłam, marzenie moje rozchwiało się, ale, że szczęście twoje stało dla mnie zawsze na planie pierwszym, więc nie mam żalu do ciebie.

— Mam tylko żal do losu... — dodała — a mnie się zrobiło bardzo przykro, ale rzecz była zbyt waż-

ną, aby nawet przywiązanie moje do ciotki mogło tu oddziałać.

Zosia pomiarkowała, że zaszło coś pomiędzy nami i na małą chwilę przed odjazdem moim zrobiła mi za to wymówkę.

— Coś pan zrobił, panie Stanisławie? — rzekła mi z wyrzutem pewnym. — Ciocia Aniela czegoś zmartwiona i smutna?...

— Broniłem niezawisłości mego serca — odparłem żywo.

— Czy można sprzedać serce swoje? — dodałem z goryczą: — Czy można wyrzucić sobie z niego miłość, gdy tam raz weszła?

Mimowoli ująłem jej rękę i przytrzymałem w rozpalonych dłoniach moich. Raz pierwszy spojrzałem tak w słodkie jej źrenice błękitne, że delikatny rumieniec wystąpił na liczko jej śliczne.

Nie usłyszałem od niej ani jednego tkliwszego słowa; przecież wiedziałem, że jej serce nie jest mi obojętne, i tem cięższy żal czułem do ciotki. Jak jabym był szczęśliwy z tą bezposażną, z tą skromną w ciemnej sukience wełnianej, którą uszyły jej rączki. Jak byłbym szczęśliwy...

Ciotka napisała do mnie w parę tygodni potem, abym przyjechał użyć w mieście trochę karnawału; widać było, że jej żal do mnie już złagodniał, ale mój trwał mimowoli.

— Starość wystyga... starość nie umie pamiętać — powtarzałem, przecież namyśliłem się i przyjechałem po pewnym czasie, ale nie było mi tu już tak miło i dobrze, jak niegdyś. Bałem się sam siebie, bałem się zdradzić, za to bywałem dwa razy tyle w mieście, co niegdyś, aż naraz uczułem, że mi to cięży zanadto i jednego wieczora pożegnałem ciotkę.

— Odjeżdżasz? — zawołała z żalem.

— Tak. Miasto mnie nudzi, przytem nie jestem o tyle bogatym, abym mógł tak opuszczać gospodarstwo...

— Ale moja praca mi nie cięży — dodałem coprędzej. — Byle tylko nie wziąć na siebie jarzma zbyt ciężkiego, można być szczęśliwym, pracując...

Ciotka spojrzała na mnie.

— Nie rozumiem, do czego się to odnosi — rzekła trochę sucho.

Przestaliśmy się rozumieć już teraz i mogła pomyśleć, żem nazywał jarzmem to uczucie wdzięczności dla niej, które czuć było z mojej strony obowiązkiem.

Nie przybyła do Wólki na lato, jak to bywało zwykle. Przyjechałem po nią, prosiłem, ale odmówiła mi. Wybierała się gdzieś do wód i ja też przestałem nalegać; w jesieni, gdy wróciła, przywitałem ją tylko listownie. Wymówiłem się brakiem czasu. Licho mnie pokusiło, żem napisał: Człowiek, który nie jest magnatem, a chce zachować niezawisłość, musi pilnować pracy. Ciotka odpisała mi, chwaląc tę moją sentencyą.

— Bardzo pięknie rezonujesz i cieszę się z tego, lecz ja, która znam życie lepiej od ciebie, mogłabym dodać, że nie samym chlebem żyje człowiek...

Rozgniewałem się. I to dla mnie ta wymówka? Zakopałem się w pracy; ze złości chciałem robić majątek, aby pokazać ciotce, że mi nie chodzi bynajmniej o jej krocie, o jej zapisy. I dotrwało to tak do Bożego Narodzenia; z początku mówiłem sobie, że nie pojadę, jeżeli nie otrzymam specyalnego zaproszenia, ale przywiązanie wzięło w końcu górę nad dumą. Znalazłem między papierami jakiś dawny list ciotki, pisany do mnie, gdym był chłopcem, i zmiękłem.

— Dobre, poczciwe kobiecisko — rzekłem sobie. — Sama nie była nigdy chciwą i, jeżeli pragnie dla mnie majątku, to przez przywiązanie właśnie. Starość zapomina, co to jest miłość... serce starych ludzi stygnie...

Żem się zdecydował ostatecznie dość późno, wyjechałem już w sam dzień wilii, ale rankiem wczesnym; wiedziałem, że stanę na czas, i tak się też stało.

Jechałem, myśląc, jak też przywitanym zostanę? Wiedziałem, że jestem kochany jak syn rodzony, ale czyż i matki nie zacinają się na dzieci swoje w takich, jak tu, przypadkach? Chcą je uszczęśliwić na swój sposób...

— Stare serce nie pamięta, jak biło w piersi młodej — mówiłem sobie z goryczą, a wiozłem też, już w rękach własnych, bukiet dla mojej Zosi, bom ją zawsze w myśli tak nazywał.

I rozdzielać nas dlatego, że uboga... że sierota? Wyszukiwać mi jakiejś krociówki, gdy ta śliczna, ta wdzięczna była tuż obok?

Musiałem nałożyć cugle na myśl moją, bo czułem, że snując dłużej te rozumowania, byłem zdolny zawrócić, siąść na kolej i jechać na całą noc do domu. Naradziłem się tylko ze sobą uroczyście, jaki ma być sposób mego obejścia z ciotką. Będę okazywał uszanowanie syna, bo to obowiązek.

Myśląc już to stawałem się sztywny jak Anglik. Przypadek zdarzył, że stary Jacenty był na dole i zobaczył, gdym z sanek wysiadał. Skinąłem na niego, aby odebrał mi z rąk bukiet, którego lękałem się uszkodzić, ale on nie zważał na to i poleciał przedemną na schody, jak gdyby był młodszym odemnie.

— Panicz przyjechał! — krzyknął, wpadając jak bomba do przedpokoju i takim głosem, żem go usłyszał w sieni. Ledwiem też wszedł we drzwi otwarte i zdołał zrzucić futro, ciotka Aniela już znalazła się na progu.

— A złe dziecko moje!... — zawołała z takim żalem i zarazem radością, wyciągając do mnie ramiona, żem padł jej do kolan.

— Ciotko! ja cię zawsze kochałem i kocham jak matkę, którą mi byłaś, ale nawet dla ciebie zaprzedać serca nie mogę!...

— Co? — zawołała. — Co? Zaprzedać serca. Toż ja się tem brzydzę, toż to był powód mojego żalu do ciebie.

Szczęściem Zosia była jeszcze nieubraną i zanim znalazła się między nami, przyszło do wyjaśnień. Ta posażna panna, ta panna z majątkiem, to była ona... Ciotka dzieliła mienie swoje między nas i na pół żartem powiedziała mi przy owej rozmowie, która nas poróżniła, o posagu wybranej dla mnie bogdanki, a ja, gorączka, zawołałem dumnie, że nie chcę go, bo nie kupuję żony... że wreszcie kocham już i kochać nie przestanę.

Co to była za biesiada czarodziejska ta wieczerza, do której zasiedliśmy wkrótce. Było jeszcze kilku starych przyjaciół ciotki, ale ja widziałem tylko jedną istotę — tę moją najdroższą, tę moją ukochaną, lecz niemniej szczęśliwą, jak ja. Kiedy jej błękitne źrenice podnosiły się na mnie z tkliwem i razem zawstydzonem spojrzeniem, serce moje tajało w piersiach z tego szczęścia, które znają tylko ci, którzy kochali, tracili, cierpieli i odzyskali.

O, cudowny dar życiu mojemu przyniosła gwiazdka! Stało się też tak, żem zaczął nazywać Zosię gwiazdką moją i stała się nią rzeczywiście.

Miłość wierna, tkliwa, poświęcona, która czuwa nawet wśród ciemności i ciemności rozjaśnia — to gwiazdka życia ludzkiego.

Nasze mieszkanie w świetle hygieny.

Światło.

Światło jest jednym z głównych warunków życia i rozwoju nieomal całego świata organicznego, do którego i człowiek należy. Bez dostatniego światła bije słabo tętno życia i tylko pod jego wpływem jest organizm ludzki w stanie nietylko szybko i normalnie się rozwijać, ale też na dalszej drodze życia się utrzymywać, podczas gdy przy braku światła ciężeje, tyje zbytecznie, traci sprężystość i chęć ruchu, a zamiast oddychać pełną piersią i czuć w sobie siłę żywotną, wegetuje raczej, bo cały mechanizm życiowy zaledwie tylko funkcyonuje, by śmierci stawiać zapory. Dla tego zależy na tem wiele, aby do pomieszkania wpadało zewsząd, ile możności, najwięcej światła, aby zatem okna byłv stosunkowo dość duże i w ścianach, ku wschodowi i południowi zwróconych, umieszczone, pomieszkanie zaś, względnie dom, rozłożystemi drzewami i innemi przedmiotami od światła nie zanadto zasłonione.

Ile możności, powinno być światło w całem pomieszkaniu jednostajne, nie zaś jeden pokój zbyt jasny, drugi zbyt ciemny, bo zmiana taka światła przy przechodzeniu z jednego pokoju do drugiego działa szkodliwie na oczy, a któryż skarb z darów bożych cenniejszym jest od wzroku? Kogo Bóg obdarzył zdrowem okiem i dobrym wzrokiem, temu niebo i ziemia nastręcza tysiące rozkoszy, przed tym rozwija się piękność natury w całej pełni, atoli bez materyi światła nie wypełnia oko ludzkie funkcyi patrzenia lecz materya ta winna uderzać oko w sposób łagodny, nierażąco, nie zbyt nagle i krótko, gdyż tylko równo rozdzielone, nie zaś bystre światło sprzyja oku o tyle, o ile nagle i znów znikające mu szkodzi, a nawet ślepotę sprowadzić jest w stanie. A jak każda siła przez zbyteczne wytężenie się osłabia, tak też rzecz się ma i z okiem.

Im ciemniejsze jest pomieszkanie i wcześniej zmrok odbiera mu światło, a musimy w niem pisać i czytać, lub szyć, haftować i t. p., tem więcej natężamy oko i przyspieszamy jego zrujnowanie, zwłaszcza, że nawet sztuczne światło nie jest w stanie całkiem zastąpić błogiego światła dziennego.

Powietrze.

Ziemia nasza okolona jest gazem, który nazywamy powietrzem atmosferycznem. Powietrze to nie jest ciałem pojedyńczem, pierwotnem, lecz z innych się składającem, mianowicie z tlenu czyli kwasorodu i azotu czyli saletrorodu. Pierwszy z tych składników zajmuje według wagi 23 procent, a według objętości 20 proc., drugi zaś według wagi 77 proc., a według objętości 79,1 proc. Nadto zawiera powietrze atmosferyczne z ciał nas tutaj obchodzących 0 029 proc. wedle objętości węglika czyli kwasu węglowego.

Człowiek bez powietrza żyć nie może, potrzebuje go koniecznie do oddychania, które zasadza się na wciąganiu go w płuca (wdychaniu czyli inspiracyi) i wyrzucaniu go zeń (wydychaniu czyli expiracyi) i to za pomocą rozszerzenia klatki piersiowej i ściągania błony poprzecznej. Przy każdem wdychaniu pobieramy w siebie pewną ilość tlenu, a po zużytkowaniu go w płucach, po przebyciu procesu spalenia wydychamy z powrotem odpowiednią ilość przy każdym procesie palenia powstającego węglika; w miarę więc pobytu naszego w pokoju zamkniętym musi zmniejszać się koniecznie ilość tlenu, a zwiększać ilość węglika w powietrzu, a że ten ostatni działa szkodliwie na zdrowie, nietrudno pojąć, zważywszy na szkodliwość gazu, uchodzącego na pokój z zawcześnie zamkniętego lub nie dosyć przed uchodzeniem tegoż zabezpieczonego pieca, który to gaz także niczem innem nie jest jak węglikiem.

Póki węglika tegoż nie nagromadzi się więcej nad 8 części na 10 000 części powietrza, jest ono jeszcze do oddychania przydatne, gdy więcej, staje się już zdrowiu mniej lub więcej szkodliwem. W miarę tego koniecznem jest wpuszczenie 20 metrów sześćścien. świeżego powietrza na godzinę dla każdej w zamkniętem miejscu znajdującej się osoby przy równoczesnem wypuszczaniu nieprzydatnego już do wdychania powietrza. Na pokoje sypialne liczy się już nawet 40, a na izby, gdzie chorzy leżą, nawet 60—100 metrów sześćścien. na osobę i godzinę.

W pokojach ciepłych, ogrzanych jest powietrze częstokroć za nadto suche i dla tego niemiło oddziaływające na ciało ludzkie, transpiracya odbywa się za nadto spiesznie i skóra wysycha zbytecznie, skutkiem czego objawia się silne pragnienie i ból głowy.

Chcąc zbadać stan wilgotności powietrza, zaleca się użycie następującego sposobu:

Na otwarte naczynie sypie się 500 gramów (1 ft.) zważywszy dokładnie, świeżo palonego stłuczonego wapna i ustawiwszy w pokoju zamkniętym, pozostawia się tam przez całą dobę. Ponieważ wapno palone chciwie powietrze w siebie wciąga, więc waga tegoż powiększy się o wagę pochwyconej wody, a z powiększenia tegoż całej wagi nie trudno wnioskować o zawartości wilgoci powietrza w izbie. Skoro waga wapna powiększyła się o mniej więcej 1 proc., zatem w danym razie o 5 gramów, to powietrze mieści w sobie właściwą miarę wilgoci, w przeciwnym razie jest jej za mało, lub gdy waga przenosi 1 procent, za wiele, co także jest szkodliwe.

W celu zapobiegania zbytecznemu wysychaniu powietrza zaleca się ustawianie w pokojach wody na płaskich, szerokich naczyniach, dozwalających jej łatwe i spieszne ulatnianie się, a jeszcze lepszym i właściwszym środkiem jest hodowanie stosownych kwiatów, lub krzewów w pokojach. Te bowiem, potrzebując znacznej ilości wody do podlewania, wyziewają jej też bardzo wiele w porównaniu z swą wielkością i sycą nią powietrze.

Ktokolwiek wstąpi do ogrodu zimowego, uczuje, jak mu jest błogo, jakoby nagle został w powietrze wiosenne przeniesionym. Uczucia tego nie doznaje on wszakże tylko kosztem znajdujących się tam roślin i kwiatów, lecz także powietrza, które w celu zachowania roślin ciepło i wilgotnie utrzymywane być musi; a jest to przedewszystkiem wilgoć, która powietrze tak miłą, jakoby wiosenną wonią napawa.

Przytem wydzielają liście roślin tlen czyli tę materyę, która, jakeśmy to już wykazali, do podtrzymania procesu życiowego właśnie jest konieczną, a zabierając z drugiej strony uchodzący z płuc człowieka wciąż węglik, potrzebny do budowy swego ciała, przyczyniają się w dwojaki sposób do podtrzymania powietrza w pokojach w stanie właściwym.

